

Andrzej Kotin

SPOWIEDŹ WIZJONERA

Beata była banalną bolesławską blondynką: biuściastą, beztroską, boską. Tak, boską, ponieważ wszyscy jesteśmy boscy, choć biuściści i beztrosscy nie wszyscy. Spotkaliśmy, a raczej zderzyliśmy się w monachijskim metrze, czego upominkowym dowodem wyblakła plama na mojej, teraz już domowej, koszuli. Kawa na wynos, średnia (tak rozmiar, jak i smak), z cukrem, bez mleka. „O Boże, przepraszam!” zawołała rozpaczliwie. „O Boże, wybaczam”, odparłem spokojnie. „Zapłacę”, powiedziała. „Nie przyjmę”, zaprzeczyłem, pieszcząc jej dygocący dekolt dwuznacznym uśmiechem i niedwuznacznym spojrzeniem. „To może... postawię panu piwo?” – zaproponowała niepewnie. „Przyjmę”, zgodziłem się natychmiast.

A jednak myślę, że słowo „kobieciarz”, krnąbrną krucjatą krążące czytelnikowi po głowie, niezbyt tu pasuje. Nie było i nie ma przecież żadnej Beaty. To znaczy, pewnie gdzieś tam jest, ale wcale nie zamierzam korzystać z jej wabiących wdzięków, a tym bardziej ich wykorzystywać. Niech sobie żyje (jeżeli żyje), czyta grube bestsellery o cienkiej zawartości, niech opowiada najlepszej przyjaciółce, że wczoraj na spotkaniu z Leszkiem było „miło, sympatycznie, pozytywnie”, że uśmieła się, kiedy powiedział, iż nie lubi swojego nazwiska, bo kojarzy mu się z lekturami. Niech usunie tę przyjaciółkę z listy znajomych, kiedy tydzień później zobaczy na Facebooku jej nowy status: „In a relationship with Leszek Mickiewicz”. Niech zaśmieje się złowieszczo, a zarazem zwycięsko, niech wydusi z siebie to stłumione, zachrypnięte „Ha!”, kiedy po trzech miesiącach, używając profilu nowej najlepszej przyjaciółki, wejdzie na profil byłej najlepszej przyjaciółki i ujrzy wytęsknione „It's complicated with Leszek Mickiewicz”. Niech wreszcie wybaczy Leszkowi, niech weźmie z nim ślub, zdradzi go z poznańskim przedsiębiorcą, a w trakcie kłótni małżeńskiej, płacząc, wypomni mu tamto znamienne zajście z czasów studenckich. Niech jej będzie.

Chciałbym, owszem, chciałbym opowiedzieć tej całej domniemanej dziewczusce, że można też inaczej, że zewsząd jesteśmy otoczeni niewidzialnym szczelnym murem komunałów i konwenansów – murem, który pocziwie mianujemy „obiektywną rzeczywistością”, zamiast rozpierdolić to cholerne świństwo w drobny mak. Chciałbym obnażyć przed nią najpierw sztywną sztuczność światowych świateł, a potem moje swawolne serce, spragnione prawdy i miłości. A po obłądnym, bluźnierczo upojnym seksie chciałbym wyznaczyć jej z błogą bezczelnością: „Wiesz, czasami, kiedy się bzykamy,

twoja cipka, której każdy zawył zakątek znam na pamięć i ubóstwiał, wydaje mi się niezgłębioną studnią czułości, oazą łaski”.

Ale po pierwsze, Beata nie istnieje. A po drugie, nawet jeżeli istnieje, to ostatnim, co ją interesuje, wzrusza i kręci, są moje nierozważne rozważania, moje nieproszone spłoszone płomienie. Nie obchodzi jej ani abstrakcyjna altanka aksamitnej aliteracji, ani anarchistyczny azyl anonimowego absolutu. Woli zawieść się na najlepszej przyjaciółce i wyjść za Leszka Mickiewicza.

Jaki więc z tego morał? Żadnego stąd morału.

* * *

Modlitwa zakochanego

Ach, puść mnie, mózgu, puść mnie!
 Ach, pozwól mi zapomnieć
 o złym i dobrym guście,
 o Prusie i o Prouście,
 wędrować nieprzytomnie,
 rozpuścić się w rozpuście!
 Szanuję cię ogromnie,
 lecz nie dzwoń dzisiaj do mnie.
 Ach, puść mnie, mózgu, puść mnie!

Echo

Znam pewną dziewczynę, o której nie umiem
 nie myśleć, gdy wieczór opada krawędzią
 ku nocy, i świat się pogrąży w zadumie.
 Za bardzo klasycznie? Nie szkodzi. Niech będzie.
 Znam pewną piosenkę – ma tylko dwie zwrotki,
 a później się kończy tak, jak się zaczyna.
 Nad płótem płatają się sploty i plotki,
 a echo powtarza: „Znam pewną dziewczynę.”